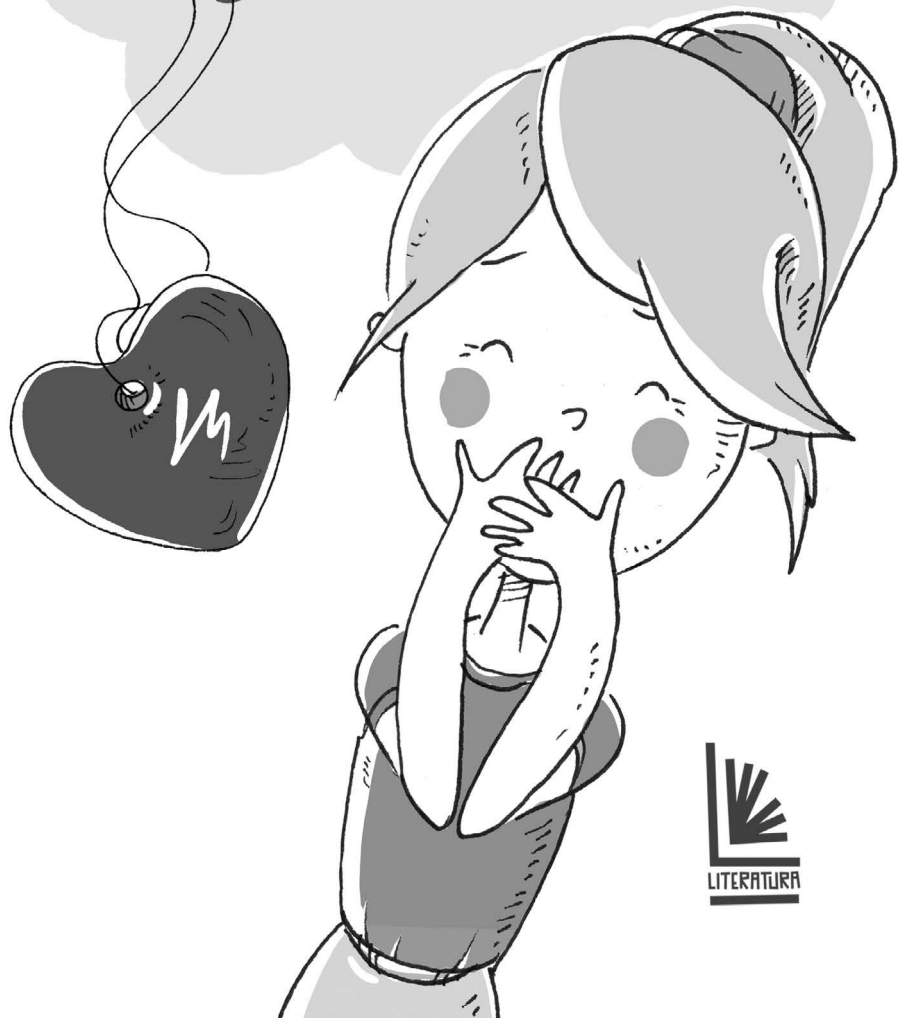


Katarzyna Ryrych
Bajdy i Bajbary



Katarzyna Ryrych
Bajdy Bajbary

© by Katarzyna Ryrych
© by Wydawnictwo Literatura

Ilustracje: Małgorzata Wysocka

Okładka: Katarzyna Kołodziej

Korekta i skład:
Aneta Kunowska, Joanna Pijewska

Wydanie I

ISBN 978-83-7672-570-3

Wydawnictwo Literatura, Łódź 2018
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl
tel. (42) 630-23-81
www.wydawnictwo**literatura**.pl

KŁAMSTWO MA NAJDŁUŻSZE NOGI W CAŁEJ SZKOLE



Mam na imię Barbara. Według mojej pani od polskiego jeżeli nie skończę w więzieniu, to zostanę pisarką.

Biorąc pod uwagę Łobuza, mam większe szanse na więzienie niż karierę literacką.

Łobuz to mój tata, którego nigdy w życiu nie widziałam. Z tego powodu mama jest niestabilna emocjonalnie i rekompensuje sobie brak taty zakupami. Średnio raz na trzy miesiące.

Mamine zakupy poniewierają się potem po całym domu. Buty, torebki, kosmetyki. Bielizna, biżuteria, okulary przeciwsłoneczne.

Raz jemy na kolację łososia, a raz ledwie wystarcza nam na chleb.

Dlatego mam kuratorkę, chociaż tak naprawdę to powinna ją mieć moja mama. Uczę się dobrze, nie chodzę na wagary, a jedyną moją wadą jest to, że kłamię.

Czasami po prostu nie da się powiedzieć prawdy.

Zaczęło się od tego, że wszyscy pytali, gdzie jest mój tata.

Oczywiście, mogłam powiedzieć jak mama: „Poszedł do diabła”, ale nie mogło mi to przejść przez gardło.

Dlatego kiedy byłam w zerówce, zrobiłam z mojego taty cyrkowca. Pracował w największym cyrku w Europie i połykał ogień. A potem zionął nim jak Smok Wawelski.

Widziałam kiedyś takiego człowieka, jak żonglował płonącymi pochodniami i nie mogłam od niego oderwać oczu. Kilka dni z rzędu wyciągałam mamę wieczorem na spacer, żeby popatrzeć na jego występ, aż ją to znudziło i powiedziała, że jeżeli chcę, to mogę iść sama. To był żart, ale ja potraktowałam go całkiem serio. A potem zgubiłam się w mieście.

Nie dość, że nie obejrzałam ulubionego sztukmistrza, to jeszcze trafiłam do Policyjnej Izby Dziecka, a mama szukała mnie całą noc.

Żeby ją chronić, wymyśliłam, że poszłam na spotkanie z moim tatą, a on zostawił mnie w parku i poszedł kupić lody, i zagubił się gdzieś po drodze.

Łgałam koncertowo, a mama patrzyła na mnie i tylko potakiwała.

Na koniec jakoś dogadała się z policjantami i zabrała mnie do domu.

– Jesteś *cool* – powiedziała, kiedy wyszliśmy na ulicę. *Cool*, zupełnie jakby była moją starszą siostrą.

Kiedy tak szliśmy obok siebie, wcale nie wyglądałyśmy na matkę i córkę.

– Ale na drugi raz nie wycinaj takich numerów – ostrzegła mnie i skręciłyśmy do cukierni.

Zamówiłyśmy po gałce z każdego rodzaju lodów i ani ja, ani ona nie byłyśmy w stanie ich zjeść.

Tak było w zerówce.

Kiedyś zagalopowałam się i wysłałam tatę do Afganistanu.

– Zaraz, zaraz – zauważył Koszmarian – przecież twój tata pracuje w cyrku. Tak mówiłaś. W cyrku!

– Oczywiście, że pracuje w cyrku – odpowiedziałam. – I ten cyrk pojechał z występami do Afganistanu, żeby umilać życie żołnierzom.

I Koszmarian odczepił się.

Ale w czasie przerwy pani poprosiła mnie na bok i powiedziała, że ona wie, że nie mam taty i że jest jej z tego powodu bardzo przykro, jednak nie powinnam kłamać. Bo kłamstwo ma krótkie nogi.

– Nikt nie będzie chciał przyjaźnić się z kłamczuchą – podsumowała.

Niestety miała rację.

Tak czy siak mój tata ze swoim cyrkiem bywał w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach i miał niezwykle przygody.

Wymyślanie tych przygód było tak przyjemne, że sama zaczęłam w nie wierzyć. Dostawałam kartki z różnych stron świata – co wcale nie było takie łatwe do zorganizowania, biorąc pod uwagę, że miałam zaledwie siedem lat...

Rzecz jasna miałam swoją metodę. Otóż syn przyjaciółki mojej mamy był przewodnikiem turystycznym. Jeździł po mieście na segwayu i oprowadzał turystów z całego świata. Przekazywał mój adres tym ludziom i prosił, żeby przysyłali mi widokówki do kolekcji. A jako że nikomu nie chciało się pisać, zwykle były to kartki z gotowym tekstem.

Na przykład „*Greetings from Cairo*”. Albo „*Bonsoir a Paris*”.

Resztę dopisywałam sama. Pokazywałam te kartki w szkole, a potem chowałam na dno szuflady, żeby nie znalazła ich mama. Diabli wiedzą, co by wtedy zrobiła.

– Przecież wiesz, że to nieprawda – powiedziała moja kurator, która nie wiadomo z jakiego powodu przeszukała moje biurko.

W odpowiedzi wzruszyłam ramionami.

Zrobiła mi długie kazanie na temat spirali kłamstwa, z którego zrozumiałam tylko tyle, że jeżeli zawsze będę mówić prawdę, będę mogła zostać na przykład kuratorem. To akurat wcale mi się nie spodobało. Grzebanie po cudzych szufladach naprawdę mnie nie interesuje.

W trzeciej klasie mój tata wstąpił do Legii Cudzoziemskiej, bo akurat potrzebowali kogoś, kto wie wszystko na temat ognia i, rzecz jasna, nie mógł już wysyłać mi kartek.

A w czwartej klasie Koszmarian zajrzał do dziennika i oznajmił, że przy moim nazwisku podane są jedynie dane mojej mamy. Tak jak u Wampireny, tylko z tą różnicą, że przy jej nazwisku podane są wyłącznie informacje o jej tacie.

Bo Wampirenę wychowuje samotny ojciec.

W piątej klasie pani od polskiego kazała nam napisać opowiadanie, którego akcja miała toczyć się w średnio-wieczu.

Jedynie Wampirena i ja napisałyśmy coś sensownego. Wampirena oczywiście musiała wsadzić do opowieści

swoje ukochane wampiry, a ja napisałam o linoskoczku, który spadł z liny pod nogi swojej córki i się zabił.

Oczywiście ta córka nie miała pojęcia, że linoskoczek był jej ojcem, i dowiedziała się tego dopiero na pogrzebie.

Pani kazała mi odczytać moje wypracowanie na głos. Wampirena się popłakała, a Koszmarian, jak to Koszmarian, zapytał, czy ten linoskoczek ział ogniem.

Miałam ochotę mu przywalić na przerwie, ale jako że Koszmarian utrzymywał, że jest Ormianinem, bo jego imię kończy się na „-ian”, byłaby to nie tylko przemoc szkolna, ale i ksenofobia.

Pani od polskiego wyglądała trochę tak, jakby chciała się roześmiać, a może mi się tylko wydawało.

Na koniec powiedziała, że jestem niezłą bajkopisarką, a na przerwie Koszmarian przekręcił moje imię na Bajbara.

I tak już zostało.

Tylko że wszyscy kojarzyli Bajbarę z opowiadaniem bajek, a nie z ich pisaniami.

Na szczęście tego dnia stało się coś jeszcze: nagle okazało się, że mam... najdłuższe nogi w całej szkole!

– No widzisz! – pocieszyła mnie Koszmaria.

Koszmarii dostało się takie przezwisko przez brata, ale tak naprawdę była uosobieniem taktu i potrafiła załagodzić wszystkie spory.

Na dodatek to dzięki niej dowiedziałam się o nieoficjalnym plebiscycie, jaki zorganizował Buła z Masłem.

I chociaż do tej pory nie zwracałam uwagi na swoje nogi, to kiedy wróciłam ze szkoły, uważnie przyjrzałam się im w lustrze i...

Nie dało się ukryć: były naprawdę niezłe.

Wyjęłam z szafy krótką spódniczkę i założyłam ją zamiast nieśmiertelnych spodni.

Efekt był piorunujący.

Nawet Koszmarian nie miał nic do gadania, a Buła z Masłem stwierdził, że w klasie są już dwie dziewczyny.

Miał na myśli Wampirenę, która ubiera się na czarno i nosi martensy o dwa numery za duże, i mnie.

Wampirena na znak solidarności usiadła ze mną, a reszta dziewczyn aż zieleniała z zazdrości, kiedy wychodziłam na środek, żeby zetrzeć tablicę. Bo tego dnia byłam dyżurną.

Kiedy moja mama zauważyła, że zrezygnowałam ze spodni, w ramach dowartościowywania siebie, pojechała do galerii, kupiła kilkanaście spódniczek i potem musiała się z tego spowiadać swojej pani psycholog.

Do końca miesiąca na śniadanie miałyśmy tylko kakao Puchatek, które smakuje jak kreda z czekoladą, i bułki z serem, na obiad chińskie zupki, a na kolację były jajka (dopóki nie zjadłyśmy wszystkich).

– Pani Klaudio – ostrzegła moja kurator. – Wie pani, że jeżeli tak dalej pójdzie...

– Wiem i naprawdę już nie będę – powiedziała mama. – Ale córka właśnie zaczyna być kobietą.

Pani kurator westchnęła i dała mi do wypełnienia test, w którym musiałam zaznaczyć, czy, kiedy jest mi smutno, to:

- a) idę sobie popłakać,
- b) kupuję czekoladę,
- c) zwierzam się przyjaciółce.

Płakać nie lubię, bo robią mi się pod oczyma paskudne worki, przyjaciółki nigdy nie miałam, więc zakreśliłam odpowiedź z czekoladą.

Pani kurator bardzo się zmartwiła, chociaż od początku podejrzewałam, że liczy na taką właśnie odpowiedź.

Miałam na końcu języka: „u mnie jak w Erze”, ale darowałam sobie.

To był czas, kiedy grałyśmy z matką w jednej drużynie. Życie było po prostu zabawne.

W szóstej klasie mój świat wywrócił się do góry nogami.

Zaczęło się w zimie, kiedy lokator narożnego mieszkania zatrzał się czadem i niestety nie udało się go uratować. Był nauczycielem muzyki. Przez cały czas słyszeliśmy, jak ktoś u niego brzdąka na pianinie.

– Daje lekcje muzyki – wyjaśniła moja mama.

No i gdyby nie to, że pewnego dnia w jego mieszkaniu od rana panowała dziwna cisza, mógłby sobie tak leżeć i leżeć w nieskończoność, aż zostałaby z niego kupka kostek.

– Ja myślę, że najpierw zaczęłyby śmierdzieć – Koszmarian jak zwykle był obrzydliwy.

Koszmaria zrobiła się zielonkawa na twarzy i wypluła w śnieg gumę do żucia.

– Jak myślicie – odezwała się Wampirena – będzie straszyl czy nie?

– Możesz straszyc za niego – zarechotał Koszmarian, bo Wampirena ubierała się trochę dziwnie. Przeważnie wyglądała jakby uciekła z planu *Rodziny Addamsów*.

– Zobaczymy – powiedziała Koszmaria. – Czas pokaże. Ale nic szczególnego się nie wydarzyło. Mieszkanie stało puste aż do wiosny, a my wymyślaliśmy różne dziwne historie, jakie się tam działy. A to, że o północy słychać dźwięki pianina, a to, że w oknie pojawia się biała postać, a to – sąsiedzi narzekają, że w nocy ktoś przestawia ciężkie meble.

Na wiosnę, tuż po świętach Wielkiejnocy, przed dom zajechał meblowóz i tragarze zaczęli wynosić z niego meble.

– Ale graty – szepnęła Koszmarian. – Muzeum.

Bo meble, jakie wnoszono do mieszkania po nauczycielu muzyki, w niczym nie przypominały praktycznych mebliścianek ani kompletów z IKE-i.

Skojarzenie z muzeum było bardzo trafne.

– O, zobacz, jaki maminsynek – mruknął Koszmarian, trącając mnie w bok.

– Śliczny – rozmarzyła się Koszmaria.

– Taki tam wypłosz – Koszmarian wykrzywił się obrzydliwie.

Wypłosz na pierwszy rzut oka był w naszym wie-



ku. Miał ciemne loki do ramion i prowadził na smyczy psa. Pies wyglądał jak mieszanka wszystkich możliwych psich ras.

Kiedy przechodził obok ławki, na której siedzieliśmy, obserwując mieszkanie, zatrzymał się i powiedział „siema!”. I nie było to złudzenie, bowiem pomachał ogonem i zauważył, że mamy „idealny dzień na spacer”.

Koszmaria dostała ataku czkawki, Koszmarian połknął gumę do żucia, a ja omal nie spadłam z ławki. Jedyne Wampirena zachowała zimną krew.

Podeszła do Wypłosza i rzuciła mu swoje słynne ponure spojrzenie.

– Co to za sztuczki? – zapytała. – Jak to robisz?

W odpowiedzi pies podniósł łeb i zaśpiewał *Love me tender*, aż echo poszło. Wypłosz stał z rękoma w kieszeniach i milczał.

Kiedy pies skończył, Wypłosz uklonił się i wyszczerzył w uśmiechu równe białe zęby.

– To nasz nowy numer – powiedział. – Robi wrażenie, prawda?

Po chwili rozmawialiśmy jak starzy znajomi. Okazało się, że ojciec Wypłosza pracuje w cyrku, a Wypłosz wykonuje numer z psem.

– Jestem brzuchomówcą – wyjaśnił.

Na twarzy Koszmariana odmalował się nietajony zachwyty.



– Jak to się robi? – zapytała praktycznie Koszmaria.

– Nie mam pojęcia – odpowiedział. – Chyba trzeba się z tym urodzić.

– Myślałam, że umrę ze strachu – przyznałam, a Wypłosz zaczął się śmiać.

Koszmarian także ryknął śmiechem, ale za chwilę spoważniał, zupełnie jakby sobie coś przypomniał.

– Czekał, czekał – powiedział – jak twój ojciec pracuje w cyrku, to powinien znać, no wiesz, takiego faceta, co połyka ogień...

Poczułam nagły zawrót głowy.

– Niejednego – odpowiedział Wypłosz. – W każdym cyrku jest taki gość.

– Jej ojciec pracuje w cyrku – wyjaśnił Koszmarian, wskazując mnie paluchem.

– O, super! – ucieszył się Wypłosz. – A w którym?

– Medrano – palnęłam, bo kiedyś zauważyłam na słupie plakat „CYRK MEDRANO, JEDYNE PRZEDSTAWIENIE, DZIECI ZA PÓŁ CENY”.

– To supercyrk – Wypłosz spojrział na mnie z aprobatą. – Czyli twój ojciec musi być naprawdę dobry.

Poczułam się nagle jak okręt wypływający na pełne morze. Dzień, w którym pani kazała mi napisać sto razy w zeszytcie „NIE BĘDĘ KŁAMAC”, dziwnie zbladł i odplynął w niepamięć.

Mój ojciec, światowej sławy połykacz ognia, urósł do rangi superbohatera i mało brakowało, żebym zaczęła opowiadać, jak to występował w Koloseum.

– To naprawdę jest kimś – stwierdził Wypłosz. – My mamy tylko ten numer z psem – dodał i nagle zrobiło

mi się go żal. Numer z psem był naprawdę fantastyczny. A mój ojciec to była jedna wielka ściema.

Ale oczywiście za nic w świecie nie przyznałabym się do tego.

Siedzieliśmy na ławce aż do zmroku. Wypłosz okazał się naprawdę fajny i daleko było mu do maminsynka!

No i za jego sprawą widmo mojego ojca przybrało bardziej realnych kształtów.

– Co to za cyrk z tym cyrkiem? – zapytała następnego dnia mama.

– Cyrk? – spojrzałam na nią z miną kota ze *Shreka*.

– Cyrk – powtórzyła. – Podobno twój ojciec pracuje w cyrku. A może się przesłyszałam?

Wzruszyłam ramionami

– No – ciągnęła – i w tym cyrku połyka ogień.

– Chcę zobaczyć się z moim ojcem – wykorzystując zaskoczenie matki, szybko przeszłam do ataku.

– Ja też – odpowiedziała i wyszła z pokoju.

Ciekawe, co tym razem kupi – pomyślałam.

To były T-shirty. Dwadzieścia T-shirtów. Z cekinami i bez, we wzorki i gładkie.

A na kolację zjadłyśmy dietetyczne sucharki.

– Od czasu do czasu dobrze jest zrobić sobie dietę – oświadczyła matka, zaglądając do lodówki.

Nie wiem, czy to dzięki tym przymusowym głodówkom matka miała figurę nastolatki, czy może miały na to wpływ geny.

Ja też jestem szczupła. No i te nogi, na które wcześniej nie zwróciłam uwagi...

Kiedy skończyłyśmy dietetyczną kolację, zadzwonił telefon. Mama na początku trochę się zdenerwowała i wyszła porozmawiać do drugiego pokoju. Ale i tak słyszałam, jak się tłumaczy.

– Gdzie tam. Pełna po brzegi.

Ale kiedy wróciła, miała nietęgą minę.

Wpakowała T-shirty do reklamówki i wepchnęła wszystko do kosza na brudną bieliznę.

A potem ponownie otworzyła lodówkę.

– Posłuchaj – powiedziała. – Pójdiesz do Moniki. Zaraz. Zabierzesz od niej... Ona już wie co. Tylko szybko.

Monika była antyprzyjaciółką mamy. Nazywałam ją tak dlatego, że bez przerwy się kłóciły, a potem godziły. Zupełnie jak ja i mama w podstawówce.

Tylko że kłótnie mojej mamy i Moniki były naprawdę straszne. Monika, podobnie jak mama, chodziła na grupę, czyli spotkania z panią psycholog, i była uzależniona od solarium. To może brzmieć śmiesznie, ale taka była prawda. Monika wyglądała, jakby posmarowała się brązową farbą, co przy jej prawie białych włosach wyglądało naprawdę strasznie.

I ciągle jej było mało, chociaż dobrze wiedziała o raku skóry i innych nieprzyjemnych konsekwencjach.

Uzależnienie od zakupów było – czegokolwiek by nie powiedzieć – o wiele mniej szkodliwe. Przynajmniej dla zdrowia.

No więc pobiegłam do Moniki. Kiedy otworzyła drzwi, trochę się wystraszyłam, bo w przedpokoju było ciemno i Monika też była prawie czarna. Tylko oczy jej świeciły jak u Murzyna.

Podala mi reklamówkę i pobiegłam z powrotem.

Kiedy przyszła kurator, wszystko elegancko leżało w lodówce. Serki, masło, wędlina, jogurt i cztery kremówki.

Przypomniałam sobie dietetyczną kolację i aż mnie skręciło w środku.

– To były nieduże zakupy? – uśmiechnęła się fałszywie pani kurator.

– Może kremówkę? – mama udała, że nie słyszy.

– Chętnie. – Pani kurator rozejrzała się po pokoju.

Na szczęście nie zauważyła rożka reklamówki z Mo-hito, który wystawał spod wersalki. Diabli wiedzą, co w tej torbie było. Wstałam od stołu i z kremówką na talerzyku przesiadłam się na wersalkę.

Przydeptałam rożek fatalnej torby i zabrałam się za ciastko. Gdybym nie była tak koszmarnie głodna, z pewnością by mi smakowało, ale w pewnej chwili mnie zemdliło i poczułam, jak kremówka rośnie mi w ustach.

Zmusiłam się, aby wszystko przełknąć, bo gdybym wstała, kuratorka mogłaby zauważyć reklamówkę.

Zresztą nie tylko o to następnego dnia była straszna awantura. Zresztą nie tylko o kremówki, bo na śniadanie wzięłam sobie trochę szynki i sera.

